NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XVI ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.**
Prenumeratę przyjmuje W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XI. Kraków, 31 stycznia 1914. Nr. 5.

Powstanie w Albanii.

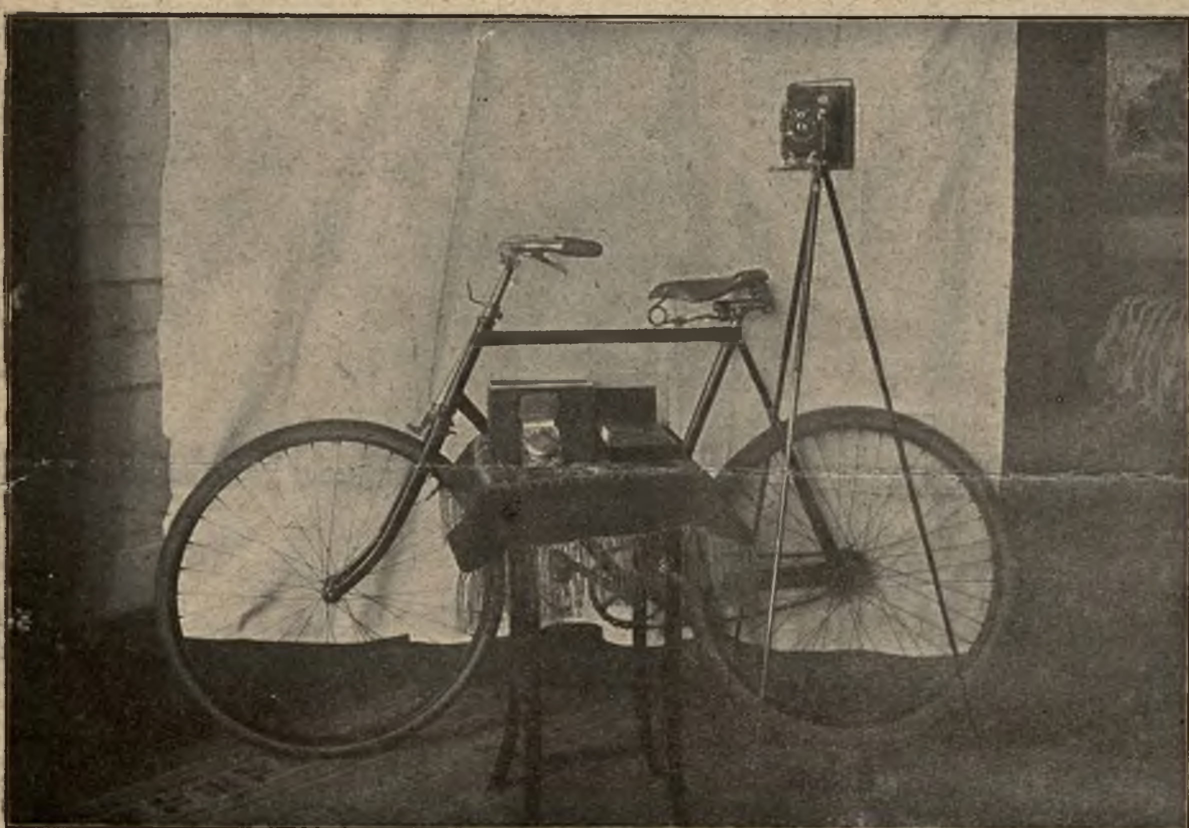


OD WYDAWNICTWA.

Z powodu strejku zecerów we wszystkich drukarniach krakowskich, dzisiejszy numer „Nowości Illustrowanych", tak samo jak poprzednie, wyszedł w zmniejszonej znacznie objętości, skutkiem czego nie mógł pomieścić artykułów i wszystkich aktualności, za co przepraszamy naszych Czytelników. Aby ubytek ten wynagrodzić, po ukończeniu strejku powiększymy znacznie objętość numerów.

Wielką Szaradę konkursową

z wspaniałemi nagrodami, której nie mogliśmy dotychczas ogłosić z powodu trudności natury technicznej, wywołanych walką cennikową w przemyśle drukarskim w całej Austryi, **zamieścimy w przyszłym numerze.**



W sprawie naszego konkursu fotograficznego.

Ogłoszony przez nas w noworocznym numerze konkurs na amatorską fotografię aktualną wywołał ogólne zainteresowanie. Ze wszystkich stron otrzymujemy liczne zapytania w sprawie szczegółów konkursu. Nie mogąc wszystkim odpowiadać osobno, jeszcze raz powtarzamy jego warunki.

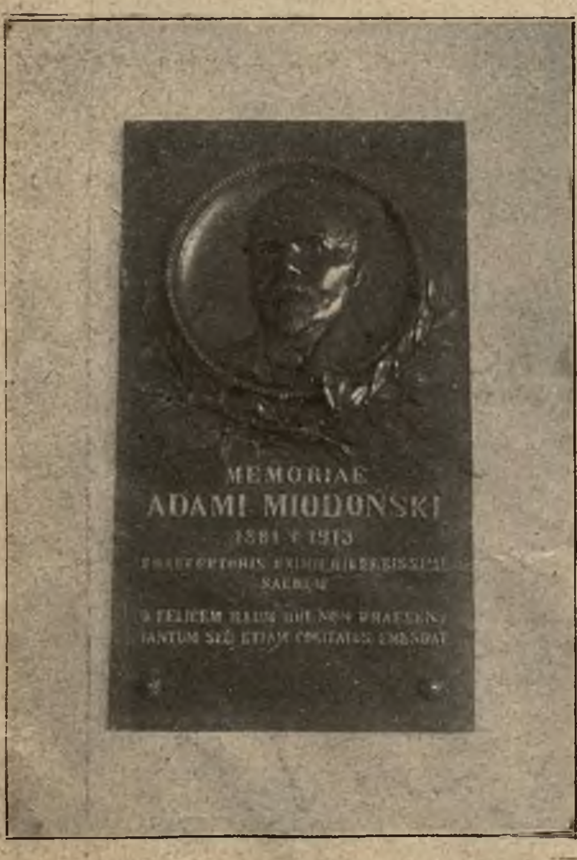
W konkursie mogą wziąć udział wszyscy nasi prenumeratorzy (roczni, półroczni i kwartalni) zarówno z Galicyi, jak Królestwa Polskiego, Poznańskiego i Ameryki.

Fotografie, nadsyłane na konkurs, muszą dotyczyć jakiegoś aktualnego zdarzenia z jakiejkolwiek dziedziny życia społecznego, kulturalnego lub narodowego. Zdjęcia ściśle artystyczne, pozbawione współczesnej aktualności, nie kwalifikują się na konkurs.

Na konkurs należy nadsyłać odbitki fotograficzne lub też wyjątkowo klisze.

Zdjęcia te będziemy zamieszczać w ciągu roku 1914, a przyznanie nagród nastąpi, na podstawie głosowania wszystkich naszych prenumeratorów, z końcem b. roku.

Dla zwycięzców konkursu przeznaczyliśmy trzy nagrody: 1) aparat fotograficzny, 2) rower i 3) zegarek złoty, które widzimy na załączonej illustracyi.



Pamięci zmarłego profesora: Tablica ku czci ś. p. Adama Miodońskiego, odsłonięta w sali wykładowej Uniwersytetu Jagiellońskiego.



Pamięci zmarłego profesora: Uczestnicy uroczystości ku czci ś. p. Adama Miodońskiego przysłuchują się przemowie prof. Morawskiego.



Drugie Pompei w Japonii: Widok zniszczonego przez wybuch wulkanu Sakuraszima (w głębi) miasta Kagoszima.

Powstanie w Albanii.

(Do illustracyi tytułowej).

Albania, która miała być przedmurzem pokoju i równowagi politycznej na Bałkanie, jest wciąż widownią niepokojów i gwałtownej agitacyi rewolucyjnej. Essad basza otwarcie już przygotowuje powstanie przeciw przyszłemu władcy Albanii, ks. Wiedowi. Zwołał on przed kilku dniami do Tirany wszystkich wybitniejszych naczelników szczepów z północnej i środkowej Albanii i na tem zebraniu postanowiono nie uznać ks. Wieda władcą Albanii.

Równocześnie Essad basza zgromadził znaczne oddziały wojska, z któremi prawdopodobnie w najbliższych już tygodniach rozpocznie operacye wojenne.

Austrya i Włochy, które głównie popierają kandydaturę ks. Wieda, postanowiły wobec tego wysłać do Albanii korpusy ekspedycyjne. Włoski korpus składać się będzie z 16 batalionów bersaglierów, zaś austryacki z 12 batalionów strzelców. Oba korpusy posiadać będą po 6 bateryi.

W ten sposób bardzo możliwe, że oba te mocarstwa zostaną wciągnięte w wir zawieruchy bałkańskiej. Czy w razie wmieszania się Austryi do walk w Albanii, nie ruszy się przeciw niej Serbia, nie jest dzisiaj rzeczą pewną. Faktem jest, że Serbowie zbroją się gwałtownie i że ich przyjaciele polityczni i opiekunowie bynajmniej im tego nie odradzają.

Powstanie w Albanii wybuchnie więc lada dzień, a wraz z niem może zapalić się nowa pożoga wojenna na Bałkanach.

Nasza tytułowa illustracya przedstawia jeden z epizodów tego rewolucyjnego wrzenia w Albanii — naradę wodzów albańskich u Essada baszy.

Tajemnica rodzinna.

Przed kilkunastu dniami Warszawa miała niebywałą sensacyę. Oto przed jeden z pierwszorzędnych hoteli zajechał adwokat w towarzystwie przedstawicieli władzy i uwiózł z tegoż hotelu mieszkającego w nim obywatela p. Klemensowskiego wprost do zakładu dla umysłowo-chorych.



Drugie Pompei w Japonii: Krater główny wulkanu Sakuraszima wyrzuca chmury dymu i popiołu.

Ubezwłasnowolnienie to nastąpiło na zarządzenie opieki. P. Klemensowski po ciężkim ciosie, jaki go dotknął w lipcu z. r., zachorował poważnie na rozstrój nerwowy. Stracił on wtedy w bardzo tajemniczy sposób syna, którego zamordowano. Rodzina podała do sądu wniosek o odjęcie p. Klemensowskiemu zarządu majątkiem oraz oddanie go pod kuratelę.

Sprawa była rozpatrywana w sądzie w Lublinie i w Warszawie i ostatecznie opiekę nad p. Klimensowskim powierzono jego żonie oraz kilku innym dalszym krewnym. P. Klemensowski bawił z żoną i dziećmi w Warszawie, kiedy zapadł ostateczny wyrok. Wtedy współopiekunowie, nie porozumiawszy się z panią Klemensowską, zarządzili zamknięcie p. Klemensowskiego w domu zdrowia. Mimo protestów żony polecenie to wykonano.

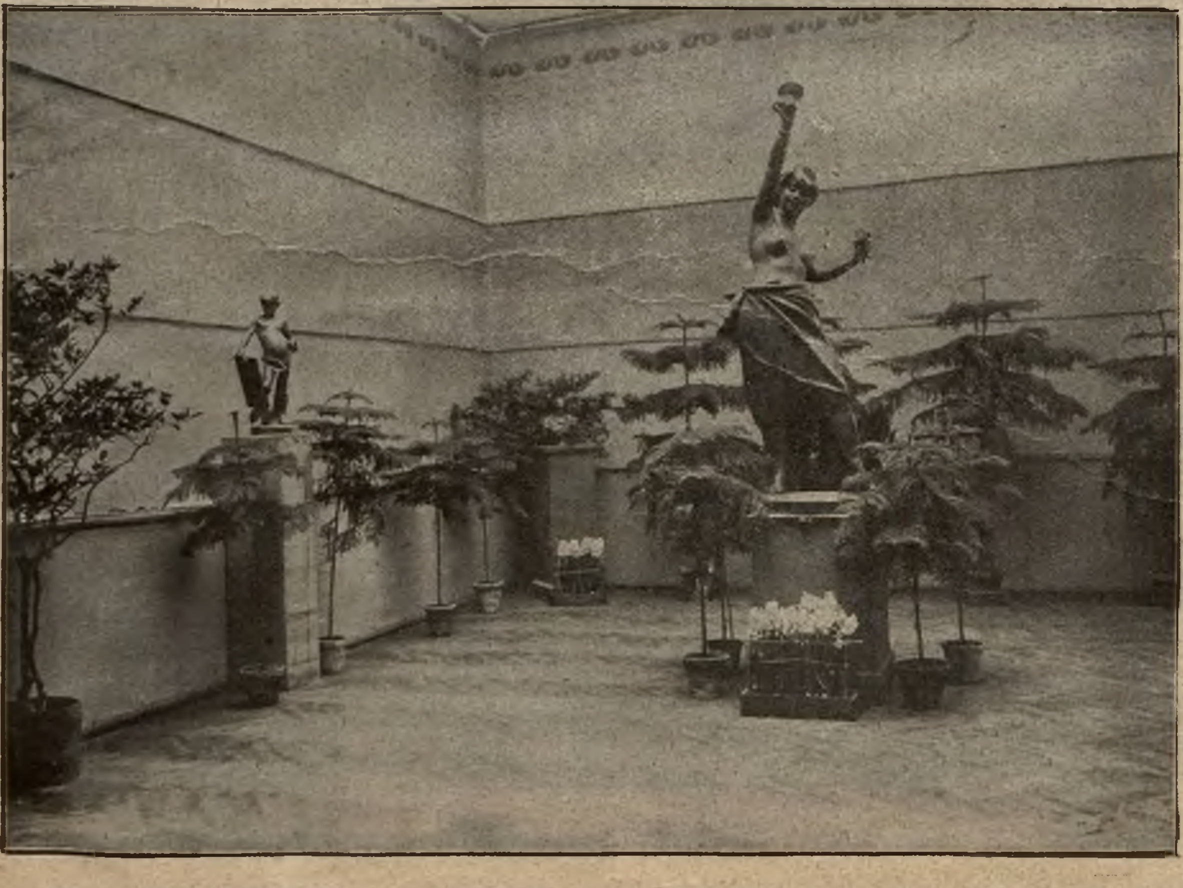
P. Klemensowska zwróciła się o opiekę prawną do znanego adwokata p. Korwin-Piotrowskiego. Sprawa ta, mająca podkład dosyć tajemniczy, intryguje obecnie całą Warszawę.

Rocznica zgonu arcyks. Rudolfa.

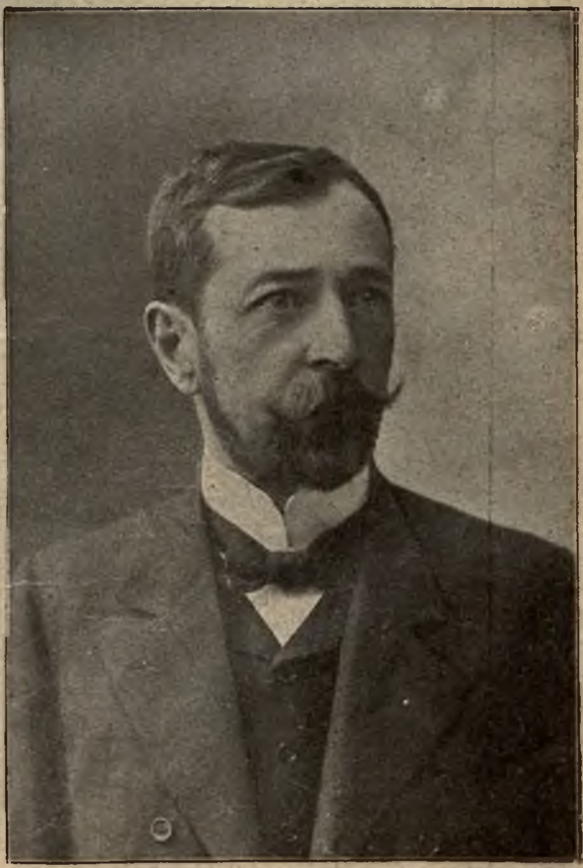
(Do illustracyi na str. 10).

W bieżącym roku upływa 25 lat od chwili, gdy na zamku Mayerling zginął tragiczną śmiercią austryacki arcyksiążę Rudolf. Cesarzowa Elżbieta w pierwszą rocznicę jego zgonu kazała w ogrodzie willi swej na wyspie Korfu ustawić wspaniały pomnik. Kiedy po śmierci cesarzowej zamek ten sprzedano, przeniesiono na życzenie cesarza pomnik do Austryi. Obecnie, w 25 rocznicę zgonu arcyks. Rudolfa, został on ustawiony w ogrodzie zamku Mayerling.

W dzisiejszym numerze podajemy illustracyę, przedstawiającą piękny pomnik.



Wystawa „Rzeźby" w Krakowie: Sala z rzeźbami ś. p. Teodora Rygiera.



Po rewelacyach red. Krysiaka: Prof. Politechniki lwowskiej Roman Załoziecki, skompromitowany stosunkami z towarzystwem „H. K. T.".



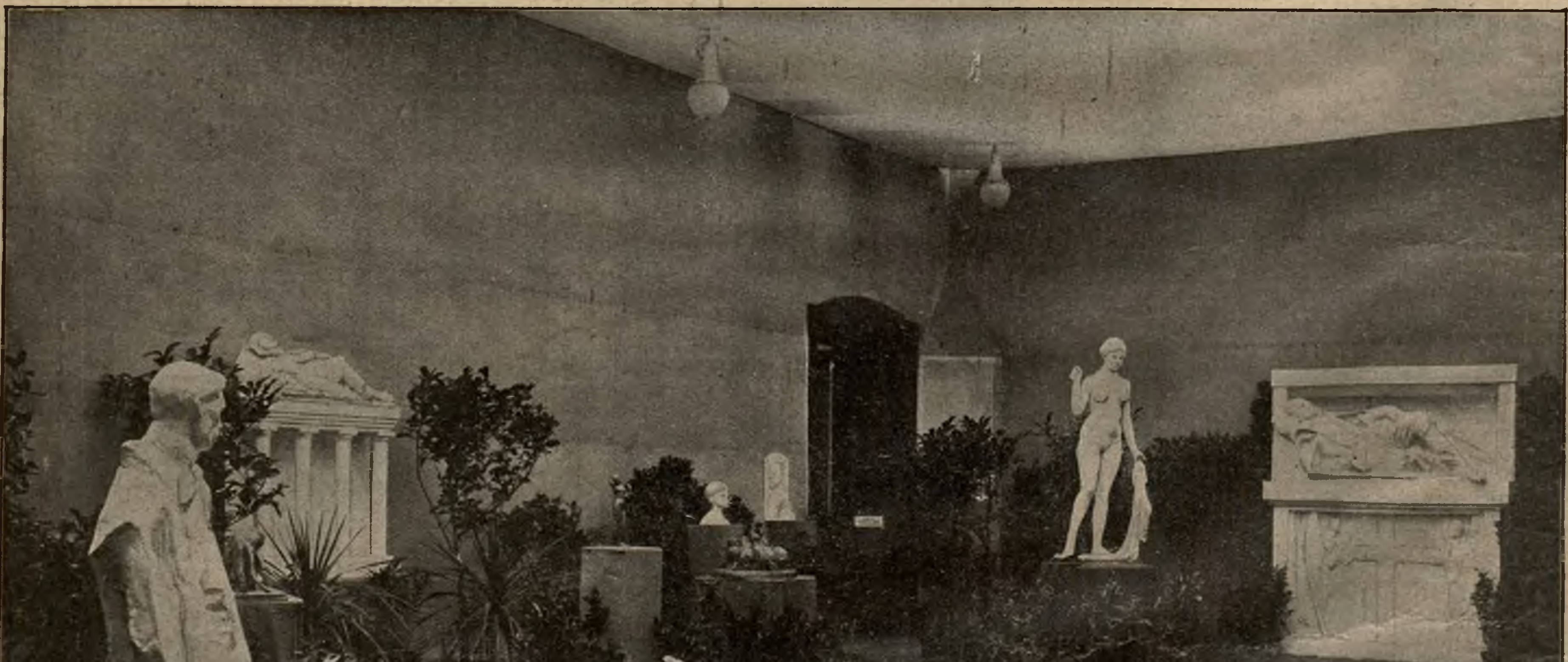
„Król Migdałowy" u Cyklistów w Warszawie: Grupa dzieci, biorących udział w przedstawieniu „Króla Migdałowego" w Warszawskiem Tow. Cyklistów.



Z karnawału: Bal Kursów handlowych im. A. Zielińskiego w Warszawie.



Tajemnica rodzinna: P. Klemensowska z córką i adw. przys. Korwin-Piotrowskim udaje się do zakładu dla umysłowo chorych we Wrzesinie, gdzie internowano ubezwłasnowolnionego jej męża.



Wystawa „Rzeźby" w Krakowie: Główna sala z rzeźbami Dunikowskiego, Szczepkowskiego, Puszeta, Dauna, Bohdanowicz-Koncewskiej, Pelczarskiego, Popławskiego, Koniecznego, Hochmanna, Gwozdeckiego i in.

N. S. Lincoln.

Trup w kasie.

Amerykański romans kryminalny.

12

— O, wiem o tem. Ale cały ten kram od kilku miesięcy nie płaci żadnej dywidendy? Cegóż tu podwyższać płace? Te łajdaki twierdzą, że to, co dostają, nie wystarcza im nawet na najkonieczniejsze rzeczy. A tymczasem mnie się zdaje, że oni już dzisiaj nie umieją odróżnić potrzeby od zbytku.

— Och! chętnie zrzekłbym się potrzeb, gdyby mi tylko ktoś dopomógł do osiągnięcia zbytku, — odpowiedział Dik, śmiejąc się.

— Ale mówmy teraz poważnie, Tomie. Dlaczego posłałeś mi tak alarmujący list?

Skinieniem ręki Tom odesłał lokaja, poczem zwrócił się do Dika:

— Spotkałem w Filadelfii twojego brata, Jana.

— O, — jakżeż się miewa ten stary poczciwiec? zapytał Dik.

— Wygląda doskonale. Jak mi mówił, wybierał się właśnie do Waszyngtonu. Kiedy jednak w spisie gości hotelowych wyczytał moje nazwisko, przyszedł do mnie z tem, że wtajemniczy mnie w bardzo ważną sprawę i poradzi się.

— A o cóż mu chodziło?

— O sprawę morderstwa u Trevorów.

— Skądże, u djabła, jego ta sprawa interesuje? — skoczył Dik.

— Po pierwsze wie, że ty specyalnie się tą sprawą zajmujesz, czytał bowiem twoje sprawozdania dziennikarskie. Po drugie, miał wrażenie, że zna pewną ciekawą sprawę, która może przyczynić się do rozwiązania tej zagadki. W zaufaniu opowiedział mi kilka faktów, biorąc odemnie solenne przyrzeczenie, że nikomu prócz ciebie słowa o tem nie pisnę.

— Jakąż tajemnicę on ci powierzył? — zapytał Dik zaciekawiony.

— Ni mniej, ni więcej, tylko, to, że dnia 1 stycznia dał ślub Beatryczy Trevor i Donaldowi Gordonowi.

— Niespodziewana ta wiadomość wywarła na Dika tak piorunujące wrażenie, że Tom aż się przeraził. Przez chwilę Dikowi zrobiło się słabo, wszystko dokoła w pokoju zaczęło tańczyć mu w oczach w szalonym pędzie.

— Ty — słuchaj no, — napij się szklankę whisky! — wołał Tomasz, w przerażeniu trzęsąc przyjacielem. Drżącą ręką nalał mu dobrą porcyę i przybliżył do ust.

— Tak — to cię odrazu postawi na nogi.

— Czy jesteś pewny, że to nie pomyłka? — zapytał Dik słabym głosem, skoro odzyskał mowę.

— Zupełnie pewny — odpowiedział Tom poważnie.

— Zarówno twój brat, jak i ja rozumieliśmy dobrze, jaki skandal się zrobi, jeśli rzecz ta stanie się głośną, zanim Gordon zostanie oczyszczony ze strasznego podejrzenia. Jan opowiedział mi wszystko z najdokładniejszymi szczegółami. Sam dawał ślub, a pani John Dundas i Artur Vandergrift byli świadkami. Sprawę całą trzymał w ścisłej tajemnicy z powodów, które pani Dundas mu wyłuszczyła. O tych powodach nic więcej mi nie powiedział prócz tego, że były uczciwe i wystarczające.

— A czy jeszcze co więcej powiedział?

— Nic, tylko, że ślub odbył się o godzinie trzeciej po południu. Specyalnie dla ciebie dał mi odpis metryki ślubu.

Dik wpatrzył się w podany papier, ale litery tańczyły mu przed oczyma tak, że nie mógł czytać!

— Jakkolwiek by na tę sprawę się zapatrywać, wobec tego dowodu wina Gordona jest jasną, — zakonkludował wreszcie.

Tom jednak potrząsnął przecząco głową.

— Nie widzę właściwego powodu do takiego wniosku, gdyż nie znajduję w tem motywu do tego czynu, — rozumował. — Tylko dlatego, że ożenił się z Beatryczą, nie ma powodu odrazu zabijać jej macochy.

— Tak, ale on sam dawniej kochał się w pani Trevor, — odpowiedział Dik stłumionym głosem.

— Opowiadał mi o tem generał Lony, a utrzymują nawet, że oboje potajemnie wzięli ślub w Londynie, nim ona poznała Trevora.

— Na Boga! — krzyknął Tom. — Przypuszczasz więc, że Gordon rozmyślnie, albo też przypadkiem popełnił bigamię?

— Nic nie wiem, — odpowiedział Dik. — Prawdopodobnie Trevor nic nie wiedział o tem małżeństwie. Ale dlaczego? Przecież to była partya dla panny Trevor zarówno odpowiednia, jak i pożądana.

— Niech to licho weźmie, jeśli coś rozumiem, — mruknął Tom. — List pani Trevor stwierdził przecież dowodnie, że wzywała Gordona do siebie o późnej nocnej godzinie. Może nie chciała mu przyrzec, że będzie milczeć i zapomni o przeszłości. I to właśnie wetknęło mu w rękę broń morderczą. Przeświadczenie o możliwości zdradzenia jego tajemnicy wobec Beatryczy mogło wywołać w nim rozpacz i gniew.

— Skąd jednak i Beatrycza wmieszana jest w całą tę historyę? — zapytał Dik.

— A czy istotnie ma jej osoba jakieś znaczenie w tej sprawie? — zdziwił się Tom.

— Ależ ma się rozumieć! — to jest, — właściwie wiem tylko tyle, że druga część złamanej szpilki do kapelusza bezpośrednio po morderstwie znajdowała się w jej posiadaniu. Twierdzą także, że w owej kasie, gdzie znaleziono trupa pani Trevor, obok zwłok miała się znajdować pokrwawiona chusteczka do nosa, znaczona monogramem Beatryczy. Gordon z pewnością nie popełniłby takiej podłości, aby przez użycie szpilki i chusteczki Beatryczy starał się zwrócić podejrzenie o morderstwo przeciw niewinnej kobiecie. Nawet, gdyby na prawdę był panią Trevor zamordował, nie kryłby się za plecy kobiety.

Tom słuchał z coraz większem przejęciem się, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia.

— Mnie się inaczej cała sprawa przedstawia, — zaczął wreszcie, kiedy Dik skończył. — Trafiłeś na ślad pierwszy. Wszystkie twoje dowody wskazują raczej na to, że Gordon usiłuje odwrócić podejrzenie od Beatryczy. Kto wie, czy właśnie dlatego nie bronił się wcale przed aresztowaniem, aby uchronić ją od odpowiedzialności za czyn, który popełniła.

— Na Boga! — krzyknął Dik i przerażony patrzył przed siebie skamieniały.

— A może Beatrycza podsłuchała rozmowę obojga za jakimi drzwiami. Pani Trevor była bardzo piękna i pociągająca. Możliwe więc, że Gordon na chwilę stracił panowanie nad sobą, a wtedy Beatrycza z zazdrości...

— Nie, nie! — przerwał mu Dik. — Jak stwierdziłem, Beatrycza w tym czasie znajdowała się na balu. Przecież i ja z nią tam byłem.

— A może cała tragedya rozegrała się później, niż przypus czasz, — ciągnął Tom dalej, nie zważając na słowa Dika. — Beatrycza ostatnia wróciła do domu. Wszyscy już dawno spali, — może obie damy spotkały się gdzieś po raz drugi, przypadkiem, i przyszło między niemi do sprzeczki. Wiesz przecież, że Wilkins zeznał, iż słyszał głos Beatryczy, grożącej w gwałtownej sprzeczce swej macosze. Kto wie, może nienawiść i gniew wetknęły jej w rękę mordercze narzędzie, a Beatrycza nie umiała zapanować nad swemi uczuciami.

— Nie, nigdy w to nie uwierzę! — gorączkował się Dik. — Nie mogę tego ani na chwilę przypuścić! Twierdzę stanowczo, że mordercą jest Alfred Clark.

— Sekretarz? — rzucił Tom zdziwiony.

— Tak, — on dawniej kochał się na zabój w pani Trevor...,

— Co? i ten także? Jak widzę lista jej wielbicieli nie ma końca, — wtrącił Tom.

— Mojem zdaniem pani Trevor niechętnie przyjmowała staranie się Clarka o rękę Beatryczy. Może nawet groziła mu, że odsłoni jakieś niejasne sprawki z jego przeszłości. Clark na groźbę odpowiedział czynem i wolał pozbawić ją życia, co dla niego nie było zbyt trudnem, gdyż i on jest drabem wyrachowanym i bez skrupułów. Z pewnością też on bez skrupułów skierował podejrzenie na Beatryczę, tem więcej, że ona jako żona Gordona musiała odziedziczyć jego starania.

— Mimo to będziesz miał ciężką pracę, zanim, w razie, gdyby Beatryczę oskarżono o morderstwo, zdołasz przekonać dwunastu uczciwych sędziów przysięgłych o jej niewinności, — powtórzył Tom, upierając się przy swojem.

— Mimo to podejmuję się tego zadania, — rzucił Dik zaciekle.

— Ciekawym, jak się do tego weźmiesz?

— Udowodnię, że ten łajdak jest sprawcą morderstwa.

Tom chciał właśnie coś odpowiedzieć, kiedy drzwi otworzyły się dyskretnie, a zza portyery wyjrzała głowa służącego.

— Przepraszam panów, — właśnie automobil zajechał.

— Pięknie, Lambercie! Proszę przynieść rzeczy moje i pana Tillinghasta. Podwiozę cię mój drogi dokąd zechcesz. Przedtem jednak zrobisz mi przyjemność i wstąpisz ze mną do jubilera Galta. Muszę kupić prezent ślubny dla Mary Seymour. Proszę cię bardzo, pomożesz mi w wyborze i dodasz gustu.

Dik spojrzał na zegarek.

— Jeśli to zbyt długo nie potrwa, chętnie spełnię twą prośbę. Na piątą umówiłem się z generałem Lonym.

Lambert podał im w przedsionku płaszcze a w kilka minut potem pędzili w ogromnym automobilu przez ulice; wehikuł ten stanowił dumę Toma Blakes, którego garaż był już przepełniony najrozmaitszymi typami automobilów.

— Miałem nawet ochotę, opierając się na wiadomości o potajemnym ślubie Gordona, sam zabawić się w detektywa i poprobować, czy nie uda mi się wykryć prawdziwego mordercy pani Trevor, — opowiadał Tom po drodze. — Pamiętasz chyba o tem, że panna Macallister nas wszystkich wezwała do współpracy. Dik! No — nie bój się mój chłopcze! — dodał, śmiejąc się na widok silnego rumieńca, który pokrył twarz przyjaciela. — Wiem ja dobrze, kiedy trzeba ustąpić z szranków. Dziwi mnie tylko, a poniekąd śmiesznym się wydaje fakt, iż i Morny stanął do współzawodnictwa.

— Jakto? — Dlaczego? Ma on równomierne z nami prawo ubiegania się o rękę Peggy. Z pewnością nawet bliższym jest celu, niż ja, — westchnął żałośliwie Dik.

— Ach, nie o tem myślałem. Przypuszczałem tylko, że Morny nie będzie zajmował się sprawą pani Trevor, aby nie narobić sobie przykrości. Przecież oni oboje nienawidzili się z całego serca.

Dik spojrzał na niego pytająco.

— Dlaczego w ten sposób o nim mówisz?

— To nie przypuszczenie, ale oczywista prawda. Morny sam mi o tem mówił. Dowodził on, że pani Trevor budzi w nim taką odrazę, jaką n. p. w pewnych ludziach wywołuje widok kota. Znajdowanie się z nią w jednym pokoju sprawiało mu przykrość, a przypadek bardzo często sprowadzał ich przy stole karcianym, kiedy grywali w bridgea. Z początku przypuszczałem, że on tylko przypadkowo w ten sposób o pani Trevor mówił. Pewnego dnia jednak przypadek pozwolił mi znaleźć się obok obojga, gdy na zebraniu towarzyskiem rozmawiali w niszy okna. Tłum liczny gości zatrzymał mnie w miejscu i wtedy mimo woli usłyszałem, jak pani Trevor mówiła do Mornyego: „Ja na to się nie puszczę, panie hrabio"... On nie dał jej dokończyć, ale przerwał szorstkim głosem: „Pani musi! Jeśli pani tego nie zrobi, to stanie się nieszczęście. Ostrzegam panią zawczasu!" Tyle groźby było w tych słowach, że nie chcąc dłużej podsłuchiwać, wolałem wejść do niszy. Pani Trevor zapanowała mi wtedy swoją silną wolą! Nie drgnęła nawet na mój widok, prowadziła dalej rozmowę, jak gdyby nic nie było zaszło. Morny poszedł za jej przykładem. Ach!... przypominam sobie w tej chwili, że w ową środę widziałem panią Trevor po raz ostatni, jak oczekiwała w swem auto przed domem, w którym mieszka Morny.

— Wobec wzajemnej ich niechęci fakt ten staje się bardzo znamienny! — zauważył Dik.

— Czy syndyk towarzyszył wtedy żonie?

— Nie, w automobilu była sama. Przypuszczam, że zajechała przed dom, aby oddać jakiś list, a może pieniądze. Grali oni oboje wtedy przez kilka dni. Morny opowiadał mi niedawno nawet, że będzie musiał przestać grać, gdyż stracił znaczne sumy. Ale otóż i jubiler! Chodź ze mną!

Tom wyszukał dość prędko ładny serwis do kawy na dwie osoby i objaśnił następnie jubilera dokładnie, co ma na nim wyryć i gdzie odesłać. Dik stał obok lady i spoglądał właśnie niecierpliwie na zegarek, gdy nagle usłyszał za swymi plecami głos męzki, mówiący dziwnym, obcym akcentem:

— Mój pan prosi o rychłą naprawę tej rzeczy, monsieur.

Równocześnie obcy przybysz, na takiego bowiem wyglądał, — położył na stole ciężki, z czerwonego złota wyrobiony łańcuszek do zegarka. Dik zaczekał, aż obcy odszedł, poczem zwrócił się uprzejmie do subjekta:

— Czy mógłbym obejrzeć ten łańcuszek?

— Ależ proszę pana, panie Tillinghast.

Dik ujął ostrożnie ciężki łańcuch. Ogniwa jego były bardzo oryginalnie cyzelowane. Jednego z nich brakowało. Drżącą ręką wydobył Dik z kieszeni znalezioną monetę i przyłożył ją do uszkodzonego miejsca. Zgadzało się doskonale.

Serce Dika biło tak, iż rozsadzało mu wprost piersi. Ledwie mogąc wydobyć głos ze ściśniętej krtani, prawie szeptem zapytał subjekta:

— Czy może mi pan powiedzieć, czyją własnością jest ten łańcuszek?

— Owszem, panie Tillinghast. Należy on do hrabiego de Morny.

ROZDZIAŁ XXII.

Śladami zbrodniarza.

Dik uczuł jakby nagłe uderzenie. Bezsilny oparł się o wysoką szafę szklaną. Zdrętwiałe palce jego rąk zacisnęły się odruchowo wokoło zdradliwego łańcucha.

— Panie Tillinghast!

Obrócił się gwałtownie i ujrzał obok siebie detektywa Hardyego.

— Szukałem pana. Służący pana Blakes objaśnił mnie, że może pana tutaj jeszcze złapię. Szef policyi Connor zawiadamia pana, że Clarka przyłapano dzisiaj rano na statku odjeżdżającym z Nowego Yorku do Europy. Był przebrany za palacza. Pod eskortą dwóch urzędników przywiozą go tutaj dzisiaj o godzinie szóstej. Szef prosi pana...

— Moment, panie Hardy! — przerwał mu Dik, w którego umyśle powstał nagle śmiały plan. — Czy u mie zrobić pan urzędową minę, aby panu wszystko było posłuszne?

— Jeszczeby nie! niech pan tylko spróbuje!

— Idź pan do właściciela sklepu i oświadcz, mu iż potrzebujesz koniecznie tej dewizki, — położył przed detektywem złowieszczy łańcuszek, — jako dowodu rzeczowego w sprawie morderstwa. Jeśli pan to zrobi, a następnie uda się ze mną, jeszcze dzisiaj wieczór zaaresztuje pan prawdziwego mordercę pani Trevor. Ale spiesz się pan.

Hardy w kilka chwil spełnił polecenie Dika i otrzymał łańcuszek bez wielkich trudności, wylegitymowawszy się właścicielowi sklepu jako urzędnik policyi.

— A teraz do dzieła, Tom, — zawołał Dik do swego przyjaciela, który przeglądał jeszcze srebrne papierośnice.

— Cóż znowu nowego wynalazłeś? — dopytywał się Tom, wychodząc szybko za obu towarzyszami ze sklepu.

— Nowe bardzo ważne dowody, — objaśnił szybko Dik, poczem prawie wepchnął Toma i detektywa do automobilu. — Muszę mieć teraz pół godziny zupełnego spokoju.

Tom spojrzał pytająco na poważne oblicze swego przyjaciela.

— Jedź na spacer, — polecił szoferowi, a kiedy automobil ruszył — opowiadaj więc nareszcie, — zwrócił się do Dika.

W krótkich, urywanych zdaniach opowiedział Dik o znalezieniu monety i pokazał im, jak dokładnie przystawała urwana część do łańcuszka, zabranego od jubilera. Specyalnie podkreślił, że wed'ug zeznania Wilkinsa moneta ta rano przed morderstwem nie znajdowała się pod ową zbroją.

— Ach, i co dalej? — dopytywał się Tom niecierpliwie.

— A no nic więcej, jak, że łańcuszek ten należy do hrabiego Morny'ego — zakończył Dik powoli i dobitnie.

— Powoli — powoli, — wykrzyknął Tom, opanowawszy chwilowe zdziwienie, jakie go ogarnęło.

— A kto wie, czy w dniu śledztwa sądowego nie zgubił kto tej monety? Może wtedy dostała się ona pod zbroję?

— Cała ta część domu była zamknięta sznurami i policyanci nie dopuszczali tam nikogo.

— Istotnie tak było — przyświadczył Hardy.

— Kordon policyi z powodu wielkiego natłoku publiczności był nawet bardzo gęsty. Nadto trzeba przypuścić, że przerwanie tego łańcuszka wymagało wielkiej siły, co przypadkowo nie mogło się dokonać. Nieliczne meble, które stoją w hali, były w owym dniu usunięte, aby pozostawić wolne przejście dla wchodzącej i wychodzącej publiczności.

— Tak, tak! — przypominam to sobie najdokładniej, — podjął Dik. — Ja przedstawiam sobie przebieg całej sprawy w następujący sposób: Morny po spełnianiu czynu ukrył się za zbroją. Wtedy zawadził o nią łańcuszkiem i szarpnąwszy, przerwał ją, kiedy pospiesznie wydobywał się ze swego ukrycia.

— Jakie motywy nim kierowały? — zastanawiał się Hardy. — Hrabia Morny jest członkiem ciała dyplomatycznego. Jeśli nie uda nam się przeciw niemu dostarczyć zupełnie konkretnych dowodów, zrobi się z tego wielka awantura i powstaną zawikłania dyplomatyczne.

— Hrabia Morny i pani Trevor nienawidzili się, — odpowiedział Tom. — Słyszałem nawet, że hrabia groził jej.

— Nie tylko Gordon spóźnił się owego dnia na bal — rozpoczął Dik na nowo swe wywody.

— Morny także zjawił się dopiero po północy i dawał wymijające odpowiedzi, kiedy panna Macallister pytała go o powód spóźnienia. Wszyscy naciągaliśmy go wtedy z powodu jego uroczystej miny. Kiedy zaś podpił trochę szampanem, popadł w dziwną wesołość, która także zwracała uwagę. Sprawa więc przedstawia się w następujący sposób: wiemy, że Morny groził pani Trevor, wiemy dalej, że łańcuszek jest jego własnością. Wiemy, że część tego łańcucha znaleziona została w domu Trevorów, wiemy wreszcie, że Morny mógł popełnić morderstwo owego wieczora, zanim przyszedł na bal. Są to więc o wiele poważniejsze poszlaki niż te, które obwiniają Gordona. Proponuję teraz, abyśmy się udali do Morny'ego i zażądali od niego wyjaśnienia całej sprawy. Jeśli ono nie będzie zadawalniające, wtedy Hardy, jako przedstawiciel władzy, może w myśl ustawy zaaresztować go, albo mu tylko aresztowaniem zagrozić.



Przyłożył ją do uszkodzonego miejsca. Zgadzało się doskonale.

— Tak, to mogę — Hardy zrobił stroskaną minę. — Ale obaj panowie musicie mi dopomagać, gdyż może i tak się skończyć, że z powodu przekroczenia mej kompetencyi zarobię sobie na uczciwego nosa.

— Bądź pan zupełnie spokojny, — oświadczył Dik. — Jestem silnie przeświadczony o tem, że Morny jest mordercą i da się podejść i zastraszyć.

— Przedtem jednak muszę się rozmówić z kapitanem Brownem, — zadecydował detektyw.

Tom nie tracąc ani minuty, rozkazał szoferowi jechać jak najprędzej do dyrekcyi policyi.

W godzinę potem pędził potężny automobil Toma, sycząc cicho, ulicą K. Zatrzymał się wreszcie przed niepozornym domem, zbudowanym z czerwonych cegieł. Tom wysiadł pierwszy i zadzwonił w bramie. W tej chwili zajechał przed dom duży wóz meblowy. Hardy ruchem ręki zwrócił nań uwagę Dika i szepnął, nachylając się ku niemu:

— Ptaszek chce wyfrunąć.

— Proszę oddać moją kartę panu hrabiemu, — oświadczył Tom służącemu. — Nie zabiorę mu dużo czasu.

Rozkazujący ton, w jakim te słowa zostały wypowiedziane, sprawił doskonałe wrażenie. Służący po chwili wprowadził wszystkich trzech do salonu i prosił, aby chwilę zaczekali, poczem poszedł zawezwać swego pana.

Na polu było bardzo zimno, wszyscy trzej więc zbliżyli się do trzaskającego wesoło kominka i grzali ręce. Po chwili zjawił się hrabia Morny.

— Ach witam, monsieur Blake i pana, panie Tillinghast i pana..... pytające spojrzenie zwrócił na detektywa.

— Detektyw Hardy, — przedstawił Tom towarzysza, przy czem jednak zrobiło mu się jakoś dziwnie. Francuz nie zwracał prawie uwagi na pomieszanie swych gości, zaprosił ich bardzo uprzejmie, aby zasiedli wkoło kominka.

— Zimno na polu, nieprawdaż? — zauważył z uśmiechem, przysuwając fotele do ognia.

— Dziękuję panu, przyszliśmy na bardzo krótko, — odpowiedział Dik i spojrzał na Hardy'ego. — Chcieliśmy tylko...

— Chcieliśmy tylko zapytać się pana, panie hrabio, co zaszło między panem a panią Trevor po jedenastej godzinie wieczorem 3 lutego? — zapytał Hardy, występując naprzód.

W rysach Morny'ego odźwierciedliło się bezgraniczne zdziwienie.

— Wieczorem 3 lutego? — wykrzyknął — Ja nie widzieć madame tego wieczora. Ja nie wiem... moment... — wyciągnął szybko z kieszeni notatnik i zaczął pilnie w nim szukać. — *Mais oui!* Ja być tego wieczora na bal! – stwierdził wkońcu z błyskiem tryumfu w oczach.

— Pan nadszedł na bal dopiero po dwunastej w nocy, — rzucił Dik.

— *Oui, monsieur*, — odpowiedział Morny. W tej chwili jednak zoryentował się w sytuacyi, spojrzał uważnie na swych gości, gdyż zachowanie ich zaczęło mu się dziwnem wydawać. — *Et alors?* — rzucił wreszcie, przybierając dumny ton głosu.

— Chcemy dowiedzieć się od pana, co pan robił 3 lutego wieczorem między godziną dziesiątą a pierwszą i gdzie pan był?

— Dlaczego pan o to mnie pytać, monsieur Hardy? — odpowiedział Francuz pytaniem.

— Ponieważ chcę się dowiedzieć, kto zabił panią Trevor, — odpowiedział dosyć ostro detektyw.

Morny potrzebował dłuższej chwili, aby dokładnie zdać sobie sprawę ze znaczenia tych słów. Kiedy jednak pojął ich doniosłość, skoczył na równe nogi, a piękne jego oczy ciskały błyskami wściekłości.

— *Pardieu!* krzyknął — Panowie śmiecie.. śmiecie...

Zabrakło mu słów angielskich, gdyż wściekłość odebrała mu prawie mowę. Po chwili wybuchnął potokiem francuskich przekleństw i wymysłów.

Napróżno usiłował Tom uspokoić go, tłumacząc mu po francusku sytuację.

— Ja... ja... — dławił się formalnie słowami, starając się znowu mówić po angielsku, — ja... de Morny!... — oskarżony przez nędznego Americain o taką podłą zbrodnię?

Opanował swą wściekłość i po chwilce, już spokojniej, zapytał:

— Czy mogę, monsieur, zapytać o powód takiego oskarżenia, *si monstrueuse?*

— Ma się rozumieć, panie hrabio! — odpowiedział Hardy. — Pan groził pani Trevor...

— Ja, monsieur? — przerwał mu Morny bardzo zdziwiony.

— Tak, ja słyszałem rozmowę pana z panią Trevor u pani Macalister, — oświadczył Tom.

Morny spojrzał na niego z zagadkowym uśmiechem.

— Tak?!

To było wszystko, co na to oskarżenie odpowiedział.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ksiądz wiceprezydentem Izby francuskiej.

Republikańska i antykatolicka Francya posiada w swym parlamencie tylko jednego deputowanego w sutannie. Jest nim ksiądz Lemire. Wybrany on został posłem wbrew woli swej władzy kościelnej, która wezwała go do złożenia mandatu. Ks. Lemire jednak rozkazu tego nie spełnił. Obok pożytecznej



Ksiądz wiceprezydentem Izby francuskiej: Deputowany ks. Lemiro.

działalności społecznej i filantropijnej, ksiądz ten rozwinął także wybitną działalność polityczną. — Stanął on do walki z konserwatywnymi katolikami i program swój propagował w piśmie „Cri des Flandres". Biskup z Lille, mons. Charost, zabronił mu tej propagandy.

Ks. Lemire w parlamencie cieszy się wielką popularnością. Jako na znak protestu przeciw postępowaniu władz kościelnych, Izba wybrała go wiceprezydentem. Ks. Lemire nie przyjął jednak tej godności. Obecnie będzie on musiał zdecydować się na wybór pomiędzy posłuszeństwem dla swej władzy, a karyerą polityka liberalnego.

Niebezpieczeństwo nowej wojny.

Cała Europa z coraz bardziej wzrastającem zdenerwowaniem śledzi przebieg wypadków na Bałkanie. Sprawa albańska i nowy zatarg grecko-turecki nii, a tem samem zaszachowania Grecyi. — Ta ostatnia znalazła się obecnie w najcięższych opałach.

Turcya zbroi się gwałtownie, zakupuje jeden okręt wojenny za drugim. Jak słychać, Turcy



Niebezpieczeństwo nowej wojny: Król grecki w otoczeniu całej swej rodziny w pałacu ateńskim przy śniadaniu.

znowu staje się zarzewiem wojennem, groźnem dla pokoju europejskiego, z takim trudem utrzymanego przy poprzedniej zawierusze bałkańskiej.

W Albanii zbliżający się termin objęcia władzy przez nowego księcia z ramienia mocarstw wywołał powstanie. Generał turecki Essad basza, który po oddaniu Skutari w ręce Czarnogórców wycofał się do Albanii, obecnie, popierany tajemnie przez Turcyę, ogłosił powstanie przeciw ks. Wiedowi. Popierają go też milcząco i Włochy, które w ten sposób chcą znaleźć powód do wkroczenia do Albamają zamiar sprowadzić nawet japońskich oficerów do komenderowania nową flotą.

Po cichu akcyę Turcyi popierają Włochy, które radeby przecież zatrzymać kilka wysp, zdobytych na Turkach.

Grecya na wszystkie te przygotowania odpowiada również zbrojeniami i to przeprowadzanemi w bardzo przyspieszonem tempie.

Na widnokręgu bałkańskim gromadzą się znów groźne chmury, które mogą zagrzmieć nową burzą wojenną.



Zima: Zamarznięty wodospad Niagary.



Dla podniesienia rolnictwa w Królestwie Polskiem: Uczestniczki pierwszego trzechdniowego kursu dla włościanek, urządzonego przez Warszawskie Koło Ziemianek.



Dla podniesienia rolnictwa w Królestwie Polskiem: Uczestnicy i kierownicy dziesięciodniowego kursu dla rolników-praktyków, urządzonego przez Sekcyę szkolną Centralnego Towarzystwa Rolniczego w Warszawie. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).





Pożar fabryki: Żywiecka fabryka papieru po pożarze.

Zima.

Doczekaliśmy się wreszcie prawdziwej zimy. Mrozy, śnieg i sanna — w ostatnich latach tak rzadcy u nas goście, że niemal o nich zapomnieli-



Zima: Śniegi w Marokku

śmy, — w tym roku zaprezentowały się w całej swej okazałości.

Po tylu niespodziankach aury, która ostatniemi czasy darzyła nas w lecie chłodami, a w zimie jesienną słotą — ten powrót zimy był dla nas prawdziwą niespodzianką. „Strejkująca“ od kilku lat zima powetowała nawet sobie to „bezrobocie“ i rozpoczęła swe panowanie nawet tam, gdzie dotychczas nie miała wstępu. Obfite śniegi spadły nie tylko we Włoszech i wogóle w południowej Europie, ale także i w północnej Afryce pokryły grubą warstwą ziemię, jak to widzimy na naszych illustracyach z Marokka, przedstawiających nie znany dotychczas w tych krajach krajobraz prawdziwie zimowy. U nas mieliśmy nie tylko śniegi, ale i mrozy, jakich już dawno nie było. Cieszą się z tego przedewszystkiem amatorowie sportu łyżwiarskiego, którzy w ostatnich latach wraz z zimą musieli strejkować. Mniej jest z pewnością zadowolona uboga ludność, dla której tegoroczna tak ostra zima jest prawdziwą klęską.

W każdym razie trzeba skonstatować, że gdy rok ubiegły był bardzo gorący nietylko dla polityki europejskiej i dyplomatów, pracujących w pocie czoła nad utrzymaniem pokoju, ale i dla całej ludności, płacącej koszta pożogi bałkańskiej, rok obecny zaczął się dla całej Europy pod znakiem prawdziwej zimy.

Pożar fabryki.

W tych dniach Żywiec został zaalarmowany groźnym pożarem, który wybuchł w nocy w fabryce Towarzystwa akcyjnego pod firmą: „Żywiecka fabryka papieru“ w Zabłociu, obok Żywca i zniszczył prawie doszczętnie cały magazym szmat, tak, iż pozostały tylko szkielety murów. Straż pożarna zabłocka, wspólnie z żywiecką, dzielnie walczyły



Pierwszy aeroplan w Jerozolimie: Wylądowanie lotnika francuskiego Bonniera w Jerozolimie.



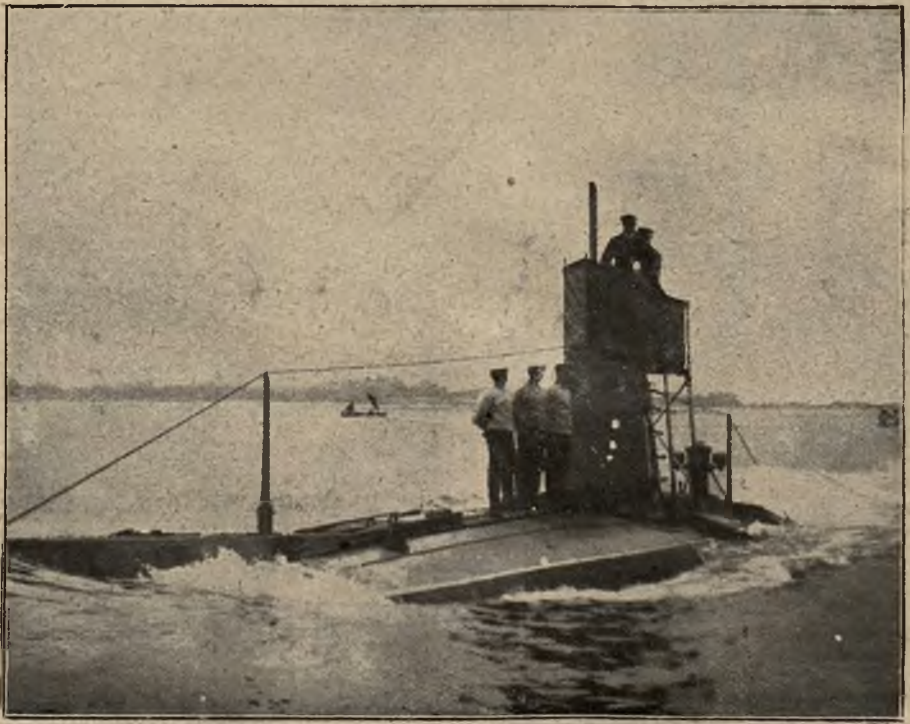
Pierwszy aeroplan w Jerozolimie: Awiator francuski Bonnier w Ogrodzie oliwnym

z szalejącym żywiołem i nie pozwoliły rozszerzyć się płomieniom na sąsiednie budynki fabryczne.

Groźny, ale wspaniały był to widok! Strumienie wody, wyrzucane z sikawek, marzły momentalnie, pokrywając mury fabryczne soplami lodu. — Zdjęcia nasze, dokonane po ugaszeniu pożaru, doskonale to uwidoczniają.



Drugie Pompei w Japonii: Most bambusowy, wiodący do zniszczonego przez wybuch wulkanu miasta Kagoszimy.



Katastrofa angielskiej łodzi podwodnej: Łódź podwodna „A VII", która zatonęła podczas ćwiczeń floty angielskiej.

Pierwszy aeroplan w Jerozolimie.

Aeroplan — ta największa zdobycz XX. wieku — nie tylko opanował przestworza powietrzne, ale stał się najszybszym środkiem komunikacyjnym. Wzrastające wciąż szeregi śmiałych lotników nie zadawalniają się już karkołomnem bujaniem po powietrzu, ale walczą zapamiętale w zdobywaniu rekordów szybkości i odległości. — Co kilkanaście dni dzienniki donoszą o jakimś śmiałym locie, który został podjęty na wielkiej odległości. Przed kilku miesiącami lotnik Daucourt próbował dolecieć do Maroka drogą z Paryża przez Konstantynopol, Mniejszą Azyę, Palestynę i Egipt. Zamiar ten nie udał się jednak.

Obecnie podjął ponownie ten sam lot awiator francuski Bonnier, który więcej miał szczęścia, niż jego poprzednik. Wzniósł on się w Beyrucie i dotarł szczęśliwie do Jerozolimy. Jest to więc pierwszy awiator, który szybował nad świętem miastem. Wylądował on przed bramami Jerozolimy nad wieczorem. Skoro wiadomość o tem dostała się do miasta, wyległy olbrzymie tłumy, aby powitać śmiałego podróżnika. Gubernator wydał na jego cześć przyjęcie. Bonnier zabawił w Jerozolimie kilkanaście godzin, poczem ruszył do Port-Said. Żegnały go tłumy publiczności.

Lot do Port-Said ukończył Bonnier w dwie godziny.

Drugie Pompei w Japonii.

Przed kilkunastu dniami nadeszły z Japonii wiadomości o wybuchu wulkanu. Na wyspie Sakurashima nagle obudził się, drzemiący od 130 lat, wulkan i potokami lawy i popiołu zalał całą okolicę, grzebiąc doszczętnie miasto Kagoszima, a wraz z niem wszystkich mieszkańców w liczbie około 70 tysięcy. Historyczne Pompei znalazło powtórzenie po raz drugi, a sceny, jakie się w Kagoszimie rozgrywały, nie ustępują w niczem tragizmem swym i okropnością opisom znanym nam ze starych rzymskich autorów.

Ludność Kagoszimy do ostatniej chwili nie przypuszczała, że miastu grozi niebezpieczeństwo. To też po pierwszym wybuchu niewielka garstka najbojaźliwszych opuściła miasto. Nastąpił drugi wybuch, a wraz z nim na miasto spadł deszcz popiołu, który pokrył je warstwą na 15 stóp wysoką. Ze szczytu wulkanu lunął potok lawy na 5 m. wysokości i wte-



Poświęcenie czwartego dreadnougtha austryackiego: Matka chrzestna, arcyksiężna Marya Teresa, w loży dworskiej.



Rocznica zgonu arcyksięcia Rudolfa: Pomnik arcyksięcia Rudolfa w ogrodzie zamku Mayerling.

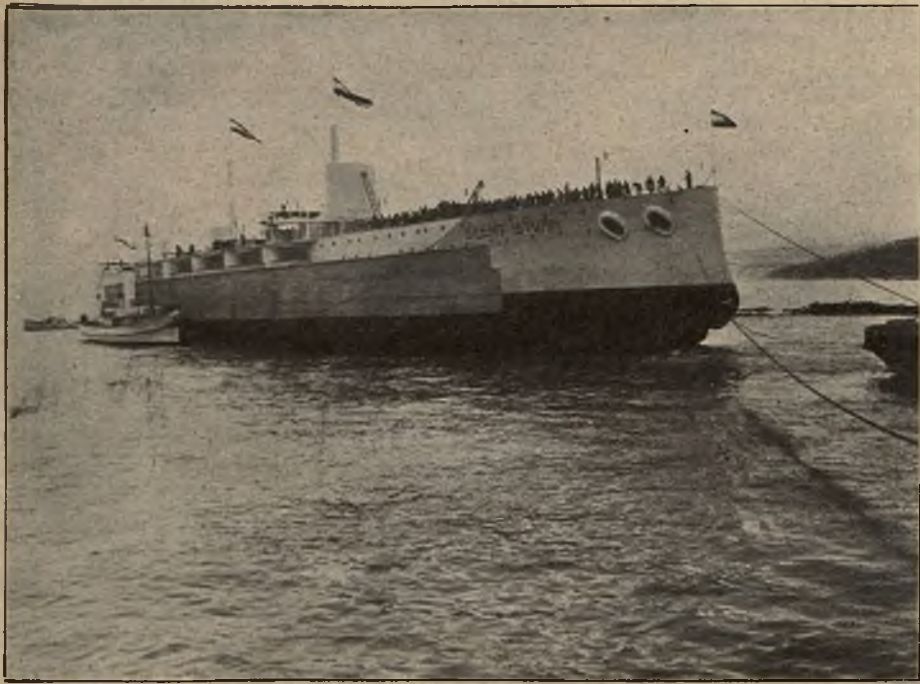
dy dla ludności Kagoszimy nie było już ratunku. Kto nie zginął w popiele i lawie, ginął na brzegu morza, które gotowało się, jak ukrop, tak że do wybrzeża nie można się było zupełnie zbliżyć.

Wspomnieć należy, że Japonia cała podminowana jest wulkanami. Do najgłośniejszych należą wulkany Fudzijana, Bandaisan i Atosan, największy wulkan na świecie.

W poprzednim numerze zamieściliśmy zdjęcia z wulkanu Sakuraszima, obecnie podajemy illustracye ze zniszczonego przez jego wybuch miasta.

Poświęcenie czwartego dreadnoughta austryackiego.

Przed kilku dniami odbyło się uroczyste poświęcenie i spuszczenie na wodę czwartego olbrzyma morskiego floty austryackiej. Budowany on był w warsztatach firmy Danubius. Matką chrzestną nowego dreadnoughta była arcyksiężna Marya Teresa, a otrzymał on imię „Szent Istwan“ (Św. Stefan), na cześć pierwszego króla węgierskiego.



Poświęcenie czwartego dreadnougtha austryackiego: „Szent Istvan“ na morzu.



Z teatrów: „Cienie“ Maryi Raczyńskiej (X) na scenie lwowskiej.

„Szent Istwan“ jest jednym z największych austryackich okrętów wojennych. Ma 151 m. długości i 27½ m. szerokości, o pojemności 20 500 ton. Uzbrojony jest w 11 armat 30 centymetrowych, 12 armat 15 centymetrowych i 19 sztuk 7 centymetrowych. Grubość pancerza wynosi 300 mm. Maszyny tego kolosa mają siłę 25.000 koni i nadają mu szybkość 20½ mili morskiej, czyli 39 kilometrów na godzinę.

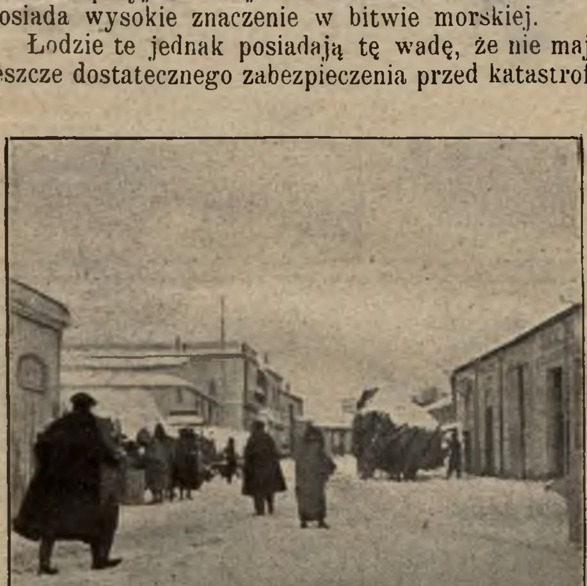
Ciężar największych pocisków armatnich wynosi 450 kg, a salwa jednego boku okrętu wyrzuca pocisków na 6000 kg. wagi. Słowem jest to pływająca twierdza, ziejąca ogniem i zniszczeniem na odległość 10 do 12 kilometrów!

W dzisiejszym numerze zamieszczamy illustracye, przedstawiające dreadnought po spuszczeniu na morze w Rjece i uroczystość poświęcenia nowego okrętu.

Katastrofa angielskiej łodzi podwodnej.

W wojennej flocie przyszłości poważną rolę odgrywają łodzie podwodne. Wynalazek ten, wprowadzony od kilkunastu lat, okazał się bardzo doniosłym, umożliwia bowiem atakowanie i niszczenie floty nieprzyjacielskiej z nienacka, a tem samem posiada wysokie znaczenie w bitwie morskiej.

Łodzie te jednak posiadają tę wadę, że nie mają jeszcze dostatecznego zabezpieczenia przed katastrofą

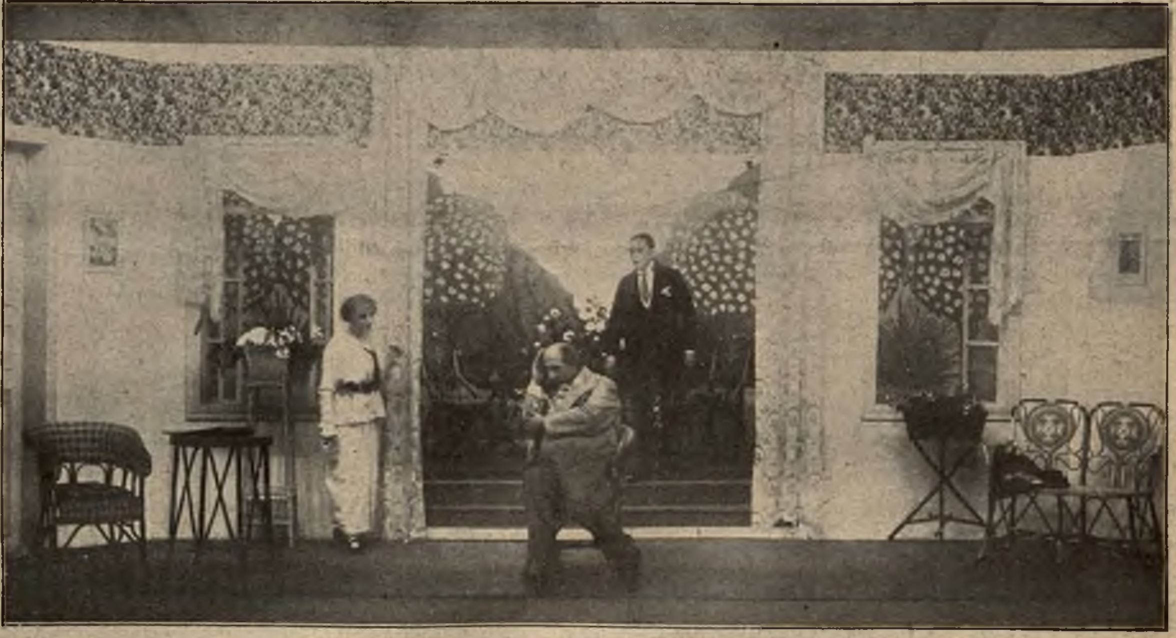


Zima: Ulica w Udży (Marokko) zasypana śniegiem

zatonięcia. Niejednokrotnie już ginęły załogi tych statków w głębiach morskich, gdy łódź, wypowiedziawszy posłuszeństwo, poszła na dno wraz z załogą, która ginęła po kilku godzinach strasznej męki, dusząc się z braku powietrza.

Przed dwoma tygodniami podobna katastrofa spotkała angielską łódź podwodną „A VII“. Odbywała ona ćwiczenia w okolicy portu Plymouth. — Pogrążywszy się w wodę, nie ukazała się już więcej na powierzchni. Wewnątrz znajdowało się dwóch oficerów i ośmiu marynarzy. Ponieważ tlenu zabrano tylko na 12 godzin, wdrożono natychmiast akcyę ratunkową. Okazała się ona bezskuteczną, a cała załoga łodzi zginęła w głębi morza.

W dzisiejszym numerze podajemy widok łodzi podwodnej „A VII“.



Z teatrów: „Wróg muzyki“ Geneego na scenie Teatru Nowoczesnego w Warszawie



Z teatrów: „Pieśni ludowe“ na scenie Teatru Nowoczesnego w Warszawie, w układzie muz. L. Rogowskiego, inscenizacya i dekoracye Maryana Dienstla.

Kronika tygodniowa.

Już to słusznie mawiali nasi praojce, iż od samego początku świata miał rodzaj męski kłopot z żeńskim. Dowodów mamy na to bez liku, wspomnijmy bodaj prapradziadka naszego Adama, którego tylko dzięki praprababci Ewie wypędzono z raju, gdzie do dnia dzisiejszego mógł swobodnie gospodarować.

Ale cóż?... Zachciało im się jabłek, a po uświadomieniu w ten sposób, Ewci nowej tualety i stała się klapa, jak wiadomo bowiem z historyi, w raju w tym czasie nie było ani jednego sklepu modniarskiego, ani jednej krawcowej.

Zaczęły się swary i niesnaski, które źle działały na dwu-, cztero- i więcejnożne towarzystwo, podówczas raj zamieszkujące i biedny Adam, jako głowa domu, otrzymał pewnego dnia wypowiedzenie dzierżawy pod zagrożeniem sądowej eksmisyi i rumacyi.

Cóż było robić? Trzeba się było wynosić i odtąd zaczyna się okres kłopotów i biedy naszego ś. p. praojca.

W tem samem położeniu, pozwólcie, że zacznę *de privatis*, jestem dziś i ja. Czcigodna moja połowica tak mi już dogryzła, że wyprowadziła mnie, spokojnego, z równowagi, zagroziłem jej też, iż podam się o separacyę od stołu i innych sprzętów domowych.

A chcecie Państwo wiedzieć, co było powodem? Powtórzyło się jota w jotę to samo, co ongiś było w raju, z tą jedynie różnicą, iż małżonka moja ani sama jabłka nie zjadła, ani mnie go jeść nie dała, gdyż, po pierwsze oboje cierpimy na katar żołądkowy, po drugie zaś, na takie zbytki nie stać nas w tych ciężkich czasach.

Natomiast jest ona stałą czytelniczką kroniki karnawałowej, która w każdem z naszych pism codziennych pomimo strejku zecerskiego zajmuje bodaj jedną szpaltę... Ot, mam przed sobą numer „Nowej Reformy" z dnia 21. stycznia i w nim znajduję w rubryce p. t. „Z karnawału" wzmiankę tylko o jedenastu balach i zabawach w Krakowie i o jednym w Gorlicach.... A to jeszcze nie wszystko!

Otóż, wyczytawszy, że tyle zabaw czeka na piękne Krakowianki, które nigdy nóg nie żałują, jeśli rozchodzi się o otarcie łez cierpiącym, zainterpelowała mnie władza domowa, na którą się wybierzemy.

Z miną filozofa, nic nie mówiąc ani słowa, wyciągnąłem na wierzch kieszeń i pokazałem płótno...

— Oho!... nie zawracaj mi głowy! — odpowiedziała rozindyczona. — Dopiero wczoraj czytałam na własne oczy, iż Bank austryacko-węgierski zniżył stopę procentową z pięciu i pół na pięć, stosunki kredytowe musiały się poprawić. Jeśli zechcesz, znajdziesz monetę... Na jeden bal dla mnie i dla córek potrzeba najwyżej pięćset koron... Ty, jeśli chcesz, możesz pójść także!

— Módz, mogę, ale nie pójdę i wy też nie pójdziecie, bo wiecie, jakie teraz ciężkie czasy! — tłumaczyłem spokojnie.

— Ani mi się śni siedzieć w domu, kiedy inni się bawią.

— Widać mają pieniądze!

— To i ty się postaraj!...

— Ciekawy jestem, gdzie?... I tak długów mam już więcej, niż włosów na głowie! Myślałem, że zniżą mi bodaj podatek osobisto-dochodowy na rok 1914, gdy podam sumienny spis moich długów, tymczasem podwyższono mi go o dwadzieścia koron!... Poszedłem do Administracyi podatkowej, aby się upomnieć o swą krzywdę, powiedziano mi, że, jeśli kto ma długi, to najlepszy dowód, iż jest dobrze sytuowany, gołemu nikt nie dałby przecież ani halerza. *Ergo*, wyższy wymiar jest uzasadniony...

— Daj mi święty spokój z podatkami! Jako kobieta nie znam się na tem! Oświadczam ci, że bodaj na dwu lub trzech balach musimy być tego roku! Co powiedzieliby ludzie, gdybyśmy się tak odgrodzili od całego świata? Zresztą stać się to musi ze względu na córki, które więdnieją jak owe niepodlewane kwiatuszki!... A tam może przecież która złapie jakiego frajera!...

Próbowałem się bronić. Żona pokonywała mnie mymi własnymi argumentami, co wreszcie doprowadziło mnie do stanu takiego rozdrażnienia, iż zagroziłem jej wspomnianym wyżej rozwodem.

I może myślicie Państwo, że to na co się zdało? Dyabła tam! Wysłuchała, wyjątkowo nic nie mówiąc, potem wzięła się pod boki, niczem Napoleon i zakonkludowała:

— A jednak ja postawię na swojem!

Jako przedstawiciel rodzaju męskiego mam zupełną więc słuszność, jeżeli narzekam na uciemiężenie przez rodzaj żeński, a specyalnie klnę wszystkie komitety balowe, które przykładają do tego pomocną rękę.

A komitetów tych jest całe zatrzęsienie, niema w Krakowie towarzystwa dobroczynnego lub kulturalnego, któreby w karnawale nie odwoływało się do naszych nóg.

Słysząc ciągłe narzekania na biedę, gotów kto myśleć, że to prawda, tymczasem niech w pierwszą lepszą sobotę popatrzy na którąkolwiek salę balową, przekona się, iż to nieprawda. Skoro stać nas na zabawę, widać, że nie jest jeszcze tak źle.

I znów może kto powiedzieć, że to przecież zabawa na kredyt, a ja powtórzę mu chyba słowa pana inspektora podatkowego, wyżej wspomniane, iż tylko dobrze się mający mogą się poszczycić kredytem.

Bo i na jaki cel się u nas nie tańczy! Tańczy prasa, gdyż smutno jej bez zecerów, tańczą drukarze, by zabić czas bezrobotny, fikają kolonie wakacyjne, podrzutki, skrofuliczne dzieci, przyjaciele gruźlicy, operowani na ślepą kiszkę, właściciele realności i wyrostków robaczkowych (jedno i drugie zbytek!... przyp. zecera), Rady opiekuńcze, młodzież handlowa i rzemieślnicza, mieszczanie, klasycy, uświadomione i nieuświadomione podlotki, Krakowianki, certyfikatyści, c. i k. weterani i kto ich tam zliczy, a wszyscy przysięgają się na wszelkie świętości, że nie dla przyjemności urządzają owe wesołe pląsy, ale dla zebrania funduszów na zapomogi, budowy, wbicie gwoździa pamiątkowego i t. d.

Żółć mi się przewraca, gdy o tem myślę, porzucam więc niewdzięczny temat i przechodzę z rzeczy prywatnych do publicznych.

Taki sam kłopot, jaki ja i wielu mi podobnych mają z babami *ex re* zabaw karnawałowych i połączonych z niemi wydatków, ma też ekscellencya Berchtold z Albanią, namiestnik Korytowski z reformą wyborczą, a archeologowie i konserwatorzy ze znalezioną koroną. Słowem, gdzie wetkniesz nos, rodzaj męski cierpi z powodu żeńskiego.

Zaczynam naturalnie od Albanii, ze względu choćby na alfabetyczny porządek.

Jest to państewko, którego właściwie jeszcze niema, ma ono nawet swojego księcia, który jednak siedzi na razie w Poczdamie i czeka, aż zawieją pomyślniejsze wiatry, a tymczasem na przyszłem jego terytoryum ścierają się różne wrogie wpływy. Z jednej więc strony drą się Albańczycy z Serbami, na południu dla rozmaitości z Grekami, wewnątrz zaś gospodarują po swojemu Turcy, którym żal, że pozbyli się kawałka ziemi.

Naturalnym ojcem nowej Albanii jest hr. Berchtold, broni też swych praw, choć do współojcowstwa przyznają się i Włochy. Jednem słowem jest Albania kością niezgody między mocarstwami, dla Austryi zaś i Włoch bardzo bolesnym politycznym odciskiem, który ogromnie dokucza.

Nie chciałbym być fałszywym prorokiem, ale jakoś koniecznie mi się zdaje, że ze względu na ojcowstwo owego politycznego dziwolęga obaj opiekunowie, t. j. Austryak i Włoch, gotowi wziąć się za łby, w każdym razie alimentacyę zapłacimy z własnej naszej kieszeni.

Gdyby w swoim czasie chciał był mnie słuchać kierownik naszej polityki zagranicznej, dziś miałby spokój i gwizdałby na wszystkich pretendentów do tronu albańskiego, czy oni się nazywają Wied, czy Essad basza, czy jakiś inny Izmael Kemal.

Wobec tego nic też dziwnego, że książę Wied nie ma wielkiej chęci jawić się na razie w swojej nowej ojczyźnie, gdzie gotowi mu wierni poddani urządzić bardziej nawet gorące przyjęcie, niżby tego pragnął. Tymczasowo wysłał na miejsce swego przybocznego lekarza, który ma zwąchać pismo nosem i kilka wagonów proszku perskiego, celem rozdzielenia go między najbardziej potrzebujących.

Choćby zresztą sprawa albańska poszła swoją drogą, to jest po myśli hr. Berchtolda i jego włoskiego kolegi, nie jest wykluczonem, że na Bałkanie czekają nas z wiosną inne jeszcze niespodzianki, mianowicie zbrojne starcie Turcyi z Grecyą, co znów i reszcie Europy dałoby zupełnie niepożądaną sposobność do wetknięcia nosa w nieswoje sprawy.

Zdaje się, że teraz co rok na wiosnę będziemy się bawić w żołnierzy, czy jednak wyjdziemy na tem dobrze, wątpię. Mógłby o tem coś powiedzieć pan minister skarbu, lecz on nie ma wcale zamiaru wchodzić w ślady ex-kolegi Długosza.

Niech mi przy tej sposobności, choć to do sprawy nie należy, wolno będzie wspomnieć, że w obozie ludowców walka trwa dalej, ciągle jednak podjazdowa. Oba odłamy, t.j. Stapińszczyki i Długoszowcy z frondą ogromnie są wojowniczo usposobione i czekają tylko sposobności, by stanąć w bojowym ordynku. Długosz wystrzelił na razie, ale bez wielkiego skutku, „Piast" zapowiada Stańczykom noc św. Bartłomieja, Stapiński robi nowe zaciągi. Kiedy i gdzie przyjdzie do rozstrzygającej walki, dotąd niewiadomo.

Nie lepiej, jak Berchtoldowi ze sprawą albańską, wiedzie się ekscellencyi Korytowskiemu z reformą wyborczą, od której zależy równowaga w austryackim parlamencie, uchwalenie małego planu finansowego, pragmatyka urzędnicza i wiele, wiele innych spraw pierwszorzędnego znaczenia.

W żaden sposób nie może mi się pomieścić w głowie, jak „mały" plan finansowy może nastręczać tyle „wielkich" trudności. Wyobrażam sobie, coby to było, gdyby tak przyszedł na tapet „wielki" plan... Tu chyba nie pomógłby nawet i paragraf czternasty!

Co się tyczy reformy wyborczej, to przecież zauważyć można pewien zwrot ku lepszemu, a to dzięki owemu ks. Hanyckiemu, o którym w poprzedniej kronice wspomniałem mimochodem. „Tyrolczyków Wschodu" wstyd, iż wyszły na jaw jego machinacye, zmiękła im też nieco rura i, kto wie, czy nie okażą więcej ustępliwości.

Można więc będzie powiedzieć, że „niema złego, aby na dobre nie wyszło."

Ale też zasługi nie będzie mógł przypisać sobie sam ekscellencya Korytowski, lecz podzielić się nią musi z owym ks. Hanyckim, który swemu społeczeństwu oddał prawdziwie niedźwiedzią przysługę i zdyskredytował gruntownie Ukrainę wobec całej Europy.

Czekamy więc cierpliwie na definitywne załatwienie tej sprawy, podobnie jak i na obsadzenie wakujących foteli ministeryalnych, a już wcale nie za zdrościmy projektowi podwyższenia podatku osobisto-dochodowego, który, niczem Marek po piekle, tłucze się po różnych komisyach i wraca raz po raz z Izby posłów do Izby panów i odwrotnie.

Kto zresztą ciekawy, niech czytuje „Illustrowanego Kuryerka", posiadającego tak dokładne wiadomości z Wiednia, iż może informować swych czytelników nawet o liczbie pryszczyków, jakie zrobiły się na języku prezydenta Lea, który znów stracił łaski pana Jana Stapińskiego, ale może przecież je odzyska.

Na zakończenie zostawiłem jeszcze jedną parę, t. j. archeologa i koronę. Pytanie, czy jest ona złotą, czy nie, już jest rostrzygnięte, pokazało się, że jest z bronzu. Nie wiadomo natomiast, czyją była własnością i z którego pochodzi okresu.

Wprawdzie znawcy twierdzą, że sięga ona czasów Łokietka, mogą się przecież mylić, co im się zresztą czasem zdarza i to nie tylko naszym, ale i cieszącym się europejską sławą, że wspomnę tylko głośną w swoim czasie aferę z tak zwaną tyarą Sajtafernesa w Paryżu.



PIOTR SALES

TAJEMNICA FAKIRA

Druga część „Lekarza Cudotwórcy"

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

9

— Pozwól mi, drogi przyjacielu, rozporządzać dalej twoją osobą, jakbyś był moją własnością. Pragnę mieć pana przy sobie w tej chwili. Wysyłam natychmiast Matjasego automobilem do pana; niech obejmie straż nad fakirami, aż do naszego przybycia. Pana zaś proszę, przybądź do pałacu natychmiast. Pragnę, abyś widział księżniczkę Kitę i uspokoił mnie w zupełności co do stanu jej zdrowia. — Potem spokojnie poświęcimy się nauce i doświadczeniom.

Gdy doktor Gewolski, trochę upokorzony tem despotycznem postępowaniem szczodrego i dobrotliwego przyjaciela, zjawił się w pałacu - zastał tam nieoczekiwany ruch i radość. Działo się tak, ilekroć poczciwy pan Morel, doskonały reparator starych obrazów, przychodził wraz ze swoją miłą i również zdolną córeczką panną Lusią. Księżniczka Kita od pewnego czasu z nakazu ojca nie opuszczała pałacu, a uwielbienie jej i namiętność do starożytnych miniatur wzrastało z dniem każdym. Postanowiono więc, że p. Morel przychodzić będzie często zdawać księżniczce relacye co do postępu powierzonych mu robót.

Dziś pan Morel przyniósł ze sobą zupełnie już wykończoną miniaturę.

A było to prawdziwe cacko! Księżniczka Kita nie posiadała się z radości. Kazała prosić księcia, by przyszedł obejrzeć małe arcydzieło.

Książę uśmiechał się dyskretnie na widok żywiołowego entuzyazmu miss Ewangeliny, którą roboty malarskie pana Morel zachwycały w równej mierze, jak jej uczenicę.

— Oh! jakie to wspaniałe! — wołała miss Ewangelina. — Mistrze Wschodu odradzają się w tobie, panie Sebonnier! Ach! przepraszam! Wiem przecież, że pan nie jesteś Piotrem Sebonnier — a jednak gdy cię widzę, nie mogę się oprzeć przekonaniu, ze jesteś tak łudząco do niego podobny!

— — — — — — — — — — — —

W tej właśnie chwili doktor Gewolski wprowadzony został do pracowni księżniczki Kity, gdzie malarz Morel umieścił miniatury naprawione na stalugach w pełnem świetle. Wszyscy obecni pochyleni byli nad obrazem, tworząc jedną grupę. — Gewolski nie mógł opanować drżenia, na widok tych szerokich, zaokrąglonych pleców, na które mimowolnie padło jego pierwsze spojrzenie. Te plecy tak przypominały tamtego! wspólnika! przez którego popełnił niedawno tak niedorzeczną pomyłkę! Ale teraz pozbyć się powinien wszelkiego niepokoju, skoro wiedział, że oszukało go tylko to nieprawdopodobne podobieństwo!

A poczciwy Morel mówił, jakby właśnie chciał utwierdzić go w tem przekonaniu:

— Niezła robota, co, miss Ewangelino! Ej, bo też miało się w swojem życiu takie kawałki w rękach! Raz, przyniesiono mi obraz zupełnie zniszczony. Zaledwie gdzieniegdzie widniały ślady drzew i kolorytu. A dałem mu przecież radę. Pamiętasz Lusiu, co mnie to pracy kosztowało! A biedna Lusia drżała jak listek, ilekroć Jan le Kerlack zapalał się do tematów malarskich, obawiając się, aby się nie zdradził!

— Tak, panie książę! przepraszam! Mości książę! — mówił dalej Morel, składając nizki ukłon. Powiedziałem mojej Lusi: Przygotuj paczkę! To jest farby, stalugi, pendzle i składane krzesła! I poszliśmy oboje do Fontainebleau i tam umieściliśmy to płótno Corota, bo to był prawdziwy Corot przed pejzażem, który napewno służył mu za model. Ot! bo ja to wypenetrowałem natychmiast! Wsadziłem kapelusz za tył głowy. jak to zwykł był czynić Corot. Mówiąc to Morel wziął kapelusz swój leżący na stołku, włożył go w wskazany sposób i siadł przed stalugami.

— Oh! tak! pamiętasz mała?! Ty siedziałaś za mną i za każdem poruszeniem pendzla prawdziwy Corot występował na płótnie! Na początku roboty, byłem jeszcze poczciwym ojcem Morel zajętym reparacyą — ale później panie książę, po dwudziestu minutach, to nie był już Morel! To był Corot! z jego mózgiem i jego oczami! I przez te ośm dni, podczas których trwała ta robota, ładnie by się wybrał ten, co by mnie był nazwał Morelem! To może mania pewnego rodzaju panie książę, ale nieszkodliwa — prawda?

Morel teraz spostrzegł Gewolskiego i zwrócił się w jego stronę.

— Przysiągłym, że pan już coś słyszał o tej mojej manii? Posłuchaj pan! Raz znowu przyniesiono mi Van Dycka do naprawy! Żeby go oddać tak, jak to uważałem za konieczne, musiałem przywdziać na siebie aksamitne ubranie, takie same, jakie nosił sławny ten mistrz. I gdybym tak teraz miał pod ręką prawdziwy strój indyjski, widziałaby księżniczka, jakich bym cudów dokazywał... Książę z pobłażliwym uśmiechem słuchał słów starego maniaka i zwrócił się następnie do Gewolskiego, wskazując ruchem, że głowę ma niebardzo w porządku. Gewolski przytaknął również uśmiechem. Ale co to szkodziło komu, skoro wywiązywał się tak wspaniale ze swojego zadania.

— Strzeż się pan — rzekł książę, żegnając się z malarzem — jak będziesz nam takie cuda odnosił — gotów jestem porwać cię do Indyi!

— Nie byłoby najgorszą rzeczą dla mnie, panie książę — zaśmiał się stary. Nie byłem nigdy nieprzyjacielem podróży tego rodzaju!

— Oh! przepraszam pana, panie Morel — zaprotestowała gorąco miss Ewangelina. — Obiecałeś mi przecież przybyć do Anglii do zamku brata mojego, lorda Cateley. Jest tam przepyszna galerya portretów naszych przodków!... conajmniej dwa tuziny do naprawienia.

— Będzie czas na wszystko — szanowna damo — odpowiedział dobrodusznie malarz.

Ciąg dalszy nastąpi.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.